

chleba kupić sobie nie mogę... bo u nas w Polsce, moja droga, łatwiej obraz namalować, niż go sprzedać. Lecz nie martwię się tem wcale! Młody jestem, pełen zapału... i nigdy nie tracę nadziei!

— Dzielnie! dzielnie, mój Piotrusiu! Piękny byłeś zawsze, teraz jednak stokroć piękniejszym mi się wydajesz, wyrazem męskości i odwagi, promieniającym w twoich źrenicach! — mówiła Róża, obejmując szyję brata ramieniem. — Lecz nie powiedziałaś nam dotąd, jak się twój dobroczyńca nazywa.

— A na co?

— Pytasz na co?

Ze zdziwieniem spojrzała na Piotra, a chmura mimowolnego rozdrażnienia zasępiła jej jasne czoło.

— Czy sądzisz, że chciałam go wyzyskać?... że oboje z Kwiatkiem pójdziemy go prosić o wsparcie?

— Żle mnie zrozumiałas moja droga. Mój dobroczyńca jest człowiekiem, nie znośącym objawów wdzięczności; nie chce przedewszystkiem, aby nawet jego lewica wiedziała, co daje prawica. Zakazał mi przed kimkolwiek wymieniać swego nazwiska. Musiałem mu przysiąc na to.

— Rozumiem go, rozumiem — szepnęła Róża uspokojona. Codziennie myśleć o nim będziemy z Jankiem. Wydaje mi się tak szlachetny i wyższy od innych ludzi, że nie zbliżyłabym się do niego inaczej, jak na klęczkach.

Do ciemnej izby przedarł się blask świtania i bladą jasnością rozlał się po wilgotnych i brudnych ścianach. Wróble zaświergotały nad oknami budy, witając radośnie początek dnia. Piotr powstał z miejsca.

— Bądźcie zdrowi — rzekł, całując siostrę i przyjaciela. Mieszkam na Żelaznej, pod siedemdziesiątym pierwszym numerem. Przyjdźcie mnie odwiedzić razem.

— Przyjdę — odpowiedziała Graziella — przyjdę niezawodnie, żeby ci pozować do obrazu.

— Jesteś piękna, siostrzyczko... Postaram się odmalować cię taką, jaką jesteś. Portret twój będzie mojem arcydziełem.

III.

Młody artysta, po dość długiej wędrówce po ulicach Czystego i Warszawy, zatrzymał się narazie przy Żelaznej, przed sztachetami z sosnowego drzewa. Otworzył furtkę kluczem, który miał w kieszeni, przeszedł niewielki ogródek, w pośród którego wznosiło się kilka altanek ze stołami i krzesłami, polakierowanymi na zielono. W sobotę i niedzielę wieczorem, gromadziła się tu ludność robotniczej dzielnicy na piwo, dostarczane przez właściciela marnej „bawaryi“.

W głębi ogródka wznosił się front dwupiętrowej kamienicy, pokryty festonami dzikiego winu i bluszczu, pnących się gęstymi gałązkami po drewnianych kratkach, przybitych gwoździami do muru. Przy drzwiach wchodowych domu rosły dwa krzaki róż sztamowych, odartych z kwiecica.

To dzikie wino, bluszcze i róże nadawały „posesyi“ odrębną i niezwykłą cechę. To też cała prawie kamienica zamieszkała była przez malarzy i rzeźbiarzy, którzy za dość skromne komorne, opłacane w dodatku bardzo nieregularnie, znajdowali tu światło, odpowiednie do swej artystycznej pracy.

Na progu drzwi stała stara kobieta, od lat kilku wdowa, dozorczyni domu.

— O! pan Piotr dziś nie nocował u siebie — zawołała, spostrzegłszy zbliżającego się młodzieńca. Ładnie! bardzo ładnie!

— A skąd pani Grzegorzowa wie, że nie nocowałem?

— Ja zawsze wiem wszystko... przedemną nie się nie ukryje.

— Byłem na Woli... poszedłem tam, żeby patrzeć na wspaniały zachód słońca...

— Od zachodu do wschodu.

Pomiedzy Grzegorzową a Piotrem panowały stosunki bardzo przyjazne. Młody człowiek, wychodząc na miasto i wracając do domu, chętnie zatrzymywał się w pokoiku stróżki, żeby z nią pogawędzić o dawnych „dobrych“ czasach, gdy — jak zapewniała wdowa — ludzie byli cnotliwi i lepsi „niż dzisiaj“ — Ile razy starszka gotowała dla siebie mięso na obiad, a trafiało się to czasem dwa razy na tydzień, w czwartek i niedzielę, malarz dostawał od niej pełen talerz gorącego rosołu z jarzynami, a był to dla niego bal prawdziwy, bo bardzo często musiał dzień cały przeżyć o suchym kawałku chleba, bo nie było za co nawet sera kupić.

— Niech mój drogi pan mi wierzy, że na Wolę lepiej po nocy nie latać. Kręci się tam cała cma obiboków i rabusiów. Nie mieliby wprowadzić z czego pana obedrzeć, ale andrus, jak pijany, o nic nie pyta i gotów najuboższego człowieka nożem przewiercić.

— Ma pani rację, lecz przecież ja co noc nie latam... raz dziś poszedłem, żeby naszkicować zachód słońca...

— Bądź co bądź zawsze ostrożnym być należy. Ja, panie Piotrze, bacznie domu pilnuję, a jednak nieraz ustrzedz się nie mogę od rozmaitych podejrzanych figur, podchodzących z Czystego aż do nas. Parę dni temu naprzykład przywlekła się tu ohydna para, on pijak i ona pijaczka. Wiem oddawna, że żyją, wyzyskując pracę własnych dzieci. Mają zaś, jak jacy najuczciwsi ludzie potomstwo cacane. Córeczka cudnie piękna, sprzedaje fiołki, a syn gipsowe figurki. Ten, co prawda, ładny nie jest, zawsze chmurny i nierozmowny... ma jednak w sobie coś pańskiego. Porusza się i mówi wcale inaczej niż wszystkie inne łobuzy, trudniące się handlem ulicznym. Jakiś taki, jakby edukowany, jakby

się orzeźwić. Po kilkogodzinnej bezsenności nic lepszego nad barszcz, lub herbatę z cytryną. A właśnie i plasterki cytryny wrzuciłam do szklanki.

— Dziękuję, bardzo dziękuję... wiem, jak pani herbatę lubi, nie chcę zatem, żebyś mnie swoją porcją poila...

— Nie rób pan próżnych ceregieli! Kiedy przyjaźń, to przyjaźń! Ci, co sobie wzajemnie dobrze życzą, powinni sobie pomagać. Czyżbyś się pogniwał na mnie za to, że radziłam, abys wczas do domu powracał?... ależ przecie znamy się od lat pięciu bez mała i spoufaliliśmy się z sobą. Przyzwyczaiłam się uważać pana za syna, bo wiem, że jesteś sierotą, że nie masz ani ojca, ani matki, ani rodzeństwa, ani żadnych krewnych.

Usiadła przy Piotrze, wyciągnęła z kieszeni olbrzymiego, perkalowego fartucha kopertę i położyła ją na stoliku, obok szklanki z herbatą.

— List ten — rzekła — przyniósł listonosz jeszcze wczoraj wieczorem. Zapomniałam oddać go panu na dole, więc teraz oddaję.

Piotr rozdarł kopertę i czytał po cichu:

„Kochany chłopcze.

„Czekać będę na ciebie jutro o godzinie piątej. Otrzymasz zamówienie na korzystną robotę. Idzie tu o pracę, która nie tylko zysk ci przyniesie, lecz zarazem, da poznać twój talent w kołach ludzi, posiadających wpływy i znaczenie.

Do jutra zatem
Filip Glenmoure“.

— Oho! widzę radość na pańskiej twarzy. Nowiny, które wyczytałeś w liście muszą być dobre — rzekła Grzegorzowa. Złożyłabym się, że to obstarunek, bo zwykle cieszysz się tylko wtedy, gdy masz nadzieję sprzedać jaki obrazek.

— Tak, droga pani, odgadłaś treść pisma!

— A czy ja nie mówię zawsze, że zostaniesz bogatym!... Tak, tak, będziesz nim niezawodnie, bo pracujesz wytrwale i malujesz bardzo pięknie!

Już nieraz starszka przepowiadała Piotrowi tryumfy i sukcesy, a pocziwie jej, chociaż prości słowa, wzmacniały w nim męstwo, budząc w sercu ufność i nadzieję. To też i teraz, cały rozpromieniony, uściśkał Grzegorzową serdecznie, a gdy wyszła z pokoju, zajął się energicznie czyszczeniem swego drugiego, odświętnego

ubrania, w którym jednakże trzeba było zaszyć i zacerować parę dziurek, a miejsca wytarte zamalować ciemną farbą.

Żeby się nie spóźnić, wyszedł z domu o wpół do piątej.

Gdy znalazł się na Marszałkowskiej, spojrzął dla zorientowania się w jedną i drugą stronę, poczem ruszył na prawo. Po chwili zatrzymał się przed niedawno wzniesionym domem, o bogatym renesansowym frontonie.

Zadzwonił.

Szwajcar, w czarnej liberyi, otworzył bramę, wskazując Piotrowi główne wejście w głębi podwórza. Młody człowiek znał je dobrze, więc prosto udał się ku wielkiej werendzie oszklonej, kiedy na ławce siedział służący Filipa Glenmour. Oddał mu swój bilet wizytowy. W parę minut, pokojowy wrócił i wprowadził młodego malarza do obszernego gabinetu, udekorowanego obrazami starych mistrzów.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Tak, droga pani, odgadłaś treść pisma!

w puchach, na batystach urodzony... Ja się na tem znam, bo za dawnych dobrych czasów, służywałam w magnackich, hrabskich... ba! nawet książęcych domach.

Piotr, który całego opowiadania słuchał z pełnem wzruszeniem, pożegnał Grzegorzową i pobiegł po schodach na drugie piętro do swojego pokoju. Gdy wszedł do malutkiej izdebki, tworzącej zarazem sypialnię i pracownię, ogarnął go wielki smutek. Słowa stróżki nakazywały ostrożność. Kto wie, czy — żeby uniknąć zetknięcia się z rodzicami — nie będzie zmuszony opuścić mieszkanie z pysznem światłem, do którego przywykł, a może nawet i przywiązał się poniekąd, tu bowiem wiodła mu się robota, a świadczyły o tem liczne szkice i studia, wiszące na ścianach, odczute i namalowane z szczerą i szczęśliwą wrażliwością artystyczną. Pograżony w dumaniach zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Wtem po cichu rozwarły się one, a na progu ukazała się Grzegorzowa z szklanką herbaty w ręku. Postawiła ją na małym stoliku pod oknem.

— Podzieliłam się z panem moją herbatą bo całą noc nie spałam, więc potrzebujesz czemkolwiek